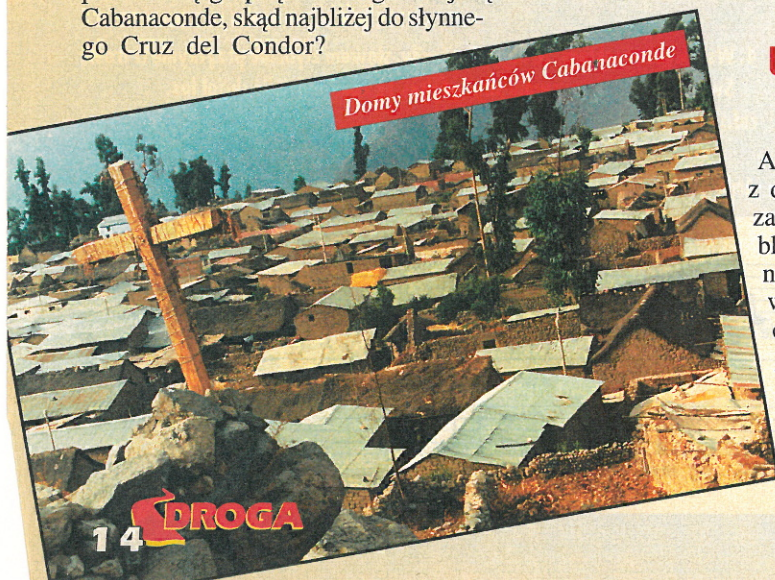


Dotrzeć do najgłębszego na świecie kanionu Colca można tylko w Arequipie.

W peruwiańskich agencjach turystycznych istnieje możliwość wykupienia całodziennego wycieczki, dłuższych się nie organizuje ze względu na brak odpowiedniej bazy noclegowej. Decydujemy się więc na indywidualną eskapadę, korzystamy z jedynej kursującej na tej trasie prywatnej linii autobusowej Empresa Transandino. Podróż ma trwać ok. 6 godzin, a bilet kosztuje 9 soli, czyli ok. 4 USD. Za rogatkami Arequipy kończy się asfalt, dalej już tylko wąska, kręta, szutrowa droga. W autobusie panuje tłok, wszystkie miejsca siedzące zajęte, sporo ludzi podróżuje na stojąco. Oprócz naszej 5-osobowej grupki są w autobusie nieliczni turyści, pozostali pasażerowie to Peruwianczycy. Kobiety ubrane w obszerne, długie, kolorowo wyszywane spódnice, na głowach ozdobione haftami meloniki. W kolejno mijanych wioskach, na przystankach ludzie wsiadają i wysiadają. Ci, którzy wracają do domu z pracy w polu, taszczą ze sobą motyki, łopaty, kosze.

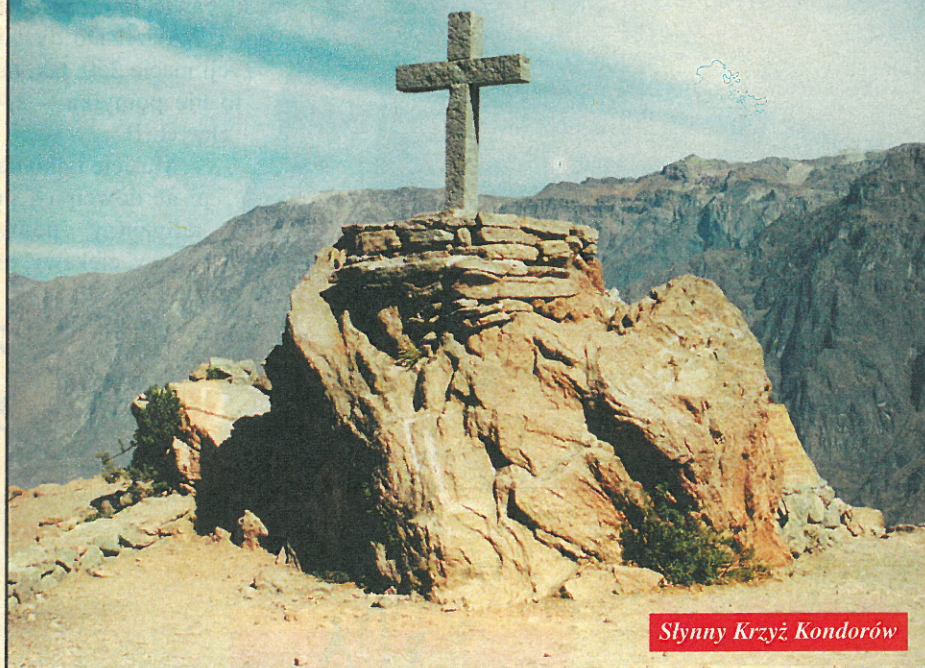
Andy na horyzoncie

Po drodze autobus ma niewielką awarię, wymiana koła zajmuje kierowcy jedynie kilkanaście minut. Za oknami krajobraz bardzo smutny, szarobure góry pozbawione roślinności, ale na horyzoncie zaczynają pojawiać się ośnieżone, wysokie szczyty Andów. To pierwsza zapowiedź czekających nas atrakcji. Im wyżej wjeżdżamy, tym częściej pojawiają się kępki traw, suchorośla, mech i pasące się stadka wikunii. Nagle zjeżdżamy gwałtownie w dół do największego w tej okolicy miasteczka Chivay. Dziwi nas, że tak szybko do niego dojechaliśmy, według mapy pozostało do końca trasy już niewiele kilometrów, a jechaliśmy dopiero 3 godziny. Gdy autobus zaczyna kontynuować dalszą jazdę, dociera do nas, że wysiedli z niego wszyscy turyści poza naszą grupką. Dlaczego nie jadą do Cabanaconde, skąd najbliższej do słynnego Cruz del Condor?



Domy mieszkańców Cabanaconde

W DRODZE DO DOLINY OGNI



Słynny Krzyż Kondorów

Już wkrótce poznamy odpowiedź na nasze pytania i wątpliwości. Na wszelki wypadek pytamy jednego z pasażerów, czy w Cabanaconde jest hotel, otrzymujemy potwierdzenie i uspokojeni jedziemy dalej. Autobus zaczyna mozolnie wspinać się wąską drogą, biegnącą na krawędzi kanionu. Podróż zaczyna przynosić nam coraz większe emocje, poziom adrenaliny we krwi podnosi się. Na szczęście zapada zmrok i pole naszego widzenia staje się bardzo ograniczone – w świetle reflektorów widać liczne przydrożne krzyże upamiętniające miejsca, gdzie na zawsze pozostali ci, którzy nie osiągnęli celu swej podróży.

się ziemi), które nigdy nie są lekceważone przez kierowcę, który zawsze wysiada z autobusu i ogląda uważnie każdą przeszkodę. Mijane wsie pogrążone są w „egipskich ciemnościach”, tylko w niektórych oknach palą się świece, lampy gazowe lub naftowe.

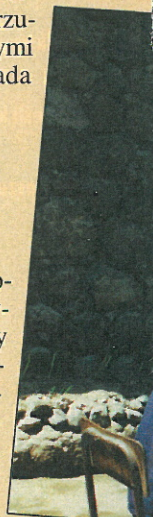
Wydaje się, że do kresu naszej podróży jest bardzo blisko, ale do pokonania jeszcze jedna przeszkoda – spływające ze zbocza potoki rozmyły drogę – przed autobusem rwący strumień, którego nie da się ominąć. Kierowca ponownie wysiada z autobusu, sprawdza głębokość wody – wrzuca kamienie, następnie wyciągniętymi z bagażnika długimi drągami bada grunt.

Uwaga: rwący strumień

Autobus zatrzymuje się z dużą częstotliwością, zawsze w centrum puebla, na placu z nieczynną fontanną oraz typowym kolonialnym kościołem. Tempo jazdy jest coraz wolniejsze, mnożą się przeszkody – liczne szczeliny w ziemi (skutki trzę-

Hotel czy chatka złej czarownicy

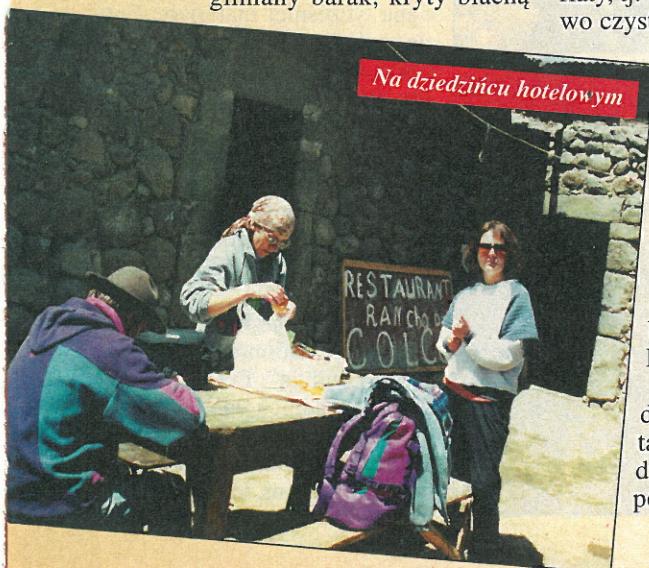
Wreszcie podejmuje decyzję o pokonaniu strumienia. Wszyscy trzymamy kciuki. Przeprawa kończy się szczęśliwie, wszyscy pasażerowie nagradzają kierowcę brawami. Uzmysławiamy sobie, jak praca kierowców w Polsce odbiega od traperskich warunków ich peruwiańskich kolegów.



Wreszcie po ponad 6 godzinach atrakcyjnej podróży jesteśmy u kresu naszej eskapady w Cabanaconde. Zastanawiamy się, czy wysiadać z autobusu – atmosfera miejsca, w które dotarliśmy nocą, jest niesamowita. Widać tylko płomienie świec i jeszcze rzadsze światelka latarek. Rozglądamy się nerwowo, pytamy o hotel. Przed autobusem zebrała się grupa ludzi, to właściciele miejscowej bazy noclegowej. Przekrzykują się nawzajem i wychwalają walory swych domów. Nie możemy się zdecydować, na którą z tych nęcących propozycji przystać. Postanawiamy pójść do hotelu o dźwięcznej nazwie „Valle del Fuego”, czyli „Dolina ognia” prowadzonego przez Pabla – szefa osady. W drodze do hotelu towarzyszy nam bardzo stara kobieta, o wyjątkowo pomarszczonej twarzy, długich, rozczochranych włosach – to właścicielka innej noclegowni. Krzykliwym głosem cały czas przekonuje nas, że dokonaliśmy niewłaściwego wyboru. Stara Peruwianka wchodzi za nami do „pokoi” hotelu Pabla i na siłę ciągnie nas do swojego obiektu. Niezbyt zachwyceni pokojami zostawiamy bagaże i idziemy do „Solaris” – własności „czarownicy”, jak między sobą nazwalimy upartą kobietę. To, co zobaczyliśmy i poczuliśmy, robi na nas piorunujące wrażenie, przypomina nam się sceneria bajki o „Jasiu i Małgosi” – chatka złej czarownicy. Szybko wracamy do Pabla, gdyż upewniliśmy się, że jego oferta jest najlepsza, a do tego zapala się światło elektryczne. Okazało się, że do Cabanaconde energia elektryczna dociera tylko przez 4 godziny na dobę, między 19 a 23.

Prysznic z widokiem na Krzyż Południa

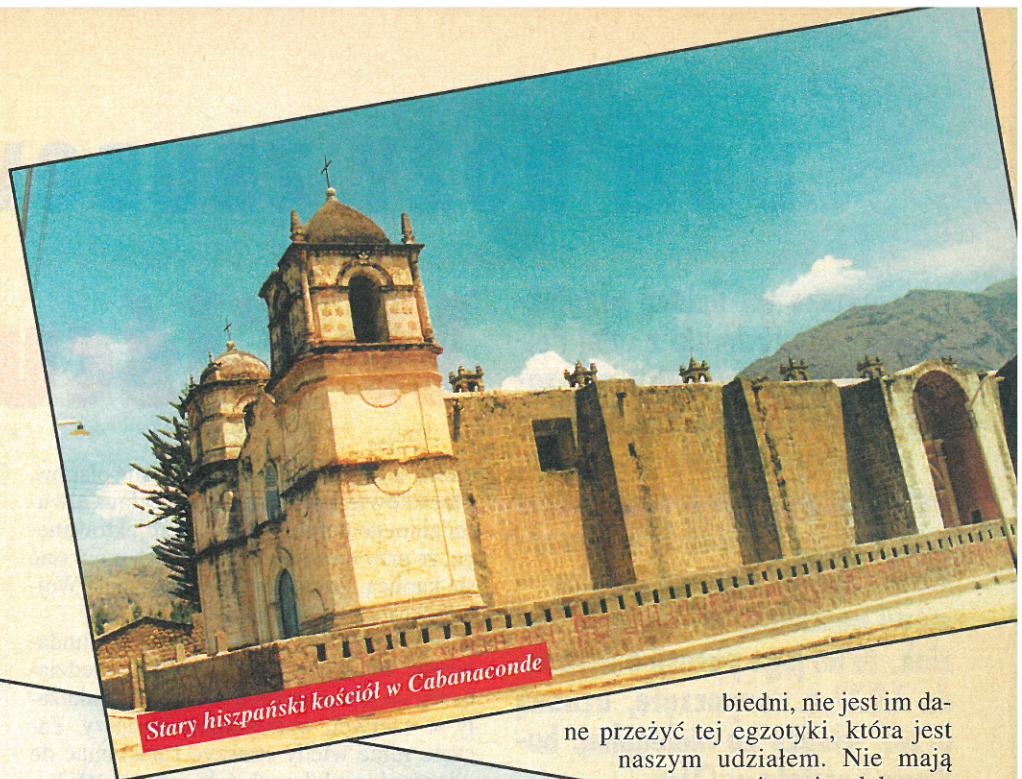
Mamy możliwość dokładnego obejrzenia naszych apartamentów. Cały hotel to gliniany barak, kryty blachą



Na dziedzińcu hotelowym

falistą z 2 pokojami dwuosobowymi i 1 pokojem jednoosobowym. Każde z pomieszczeń ma otwór wejściowy z prowizorycznymi drzwiami zbitymi z desek i zamykanymi na haczyk, drewniane pryzce z siennikami, brak oświetlenia, szaf czy innych mebli, nie ma też otworów okiennych. Z pokoi wychodzi się na małe wewnętrzne podwórko, na środku którego stoi stół i ławki zbite z desek. W rogu podwórka bańo, czyli sanitariaty, tj. wc z natryskiem. Jest on wyjątkowo czysty. Cały czas przez muszlę klozetową przepływa woda, jest ona po prostu „podłączona” do potoku. W natrysku cieszy nas ciepła woda, w ciągu słonecznego dnia zdążyła się nagrzać w dużym blaszanym zbiorniku usytuowanym na wysokich palach. W tym przypadku brak zadaszenia w sanitariacie to drobny szczegół. Zresztą nie codziennie bierze się natrysk z widokiem na Krzyż Południa.

Po raz pierwszy w czasie naszej długiej eskapady natrafiamy na tak spartańskie warunki. Teraz nie dziwimy się, że zachodni turyści pozostali w Chivay. Jakże są oni



Stary hiszpański kościół w Cabanaconde



Wejście do naszego hotelu i restauracji

biedni, nie jest im dane przeżyć tej egzotyki, która jest naszym udziałem. Nie mają szans na nawiązanie tak bezpośrednich kontaktów z autochtonami, na poznanie ich prawdziwego życia, na nawiązanie serdecznych kontaktów.

Z podwórka na ulicę przechodzi się przez pomieszczenie „hotelowej restauracji” o nazwie „Rancho del Colca” – drewniane, solidne stoły i ławy, kamienne, surowe ściany i elektryczne oświetlenie. Mimo późnej pory decydujemy się na zjedzenie lekkiego posiłku, zamawiamy ryż z warzywami i jajkiem, herbatę cynamonową oraz tradycyjne peruwiańskie pisco. Smaczna kolacja nie jest w stanie poprawić naszych nie najlepszych humorów. Pablo daje nam możliwość zobaczenia, w jakich warunkach żyją mieszkańcy tej wioski na końcu świata.

Nasi gospodarze mają do swojej dyspozycji jeden duży pokój, przedzielony zasłoną z folii na dwie części. Zamiast podłogi klepisko, a na nim duży podwójny materac, poza kolorowym telewizorem żadnych mebli. Za zasłoną pomieszczenie kuchenne z piecem na butlę gazową i kamiennym, dużym zlewozmywakiem. W sypialni gospodarzy nie ma miejsca dla córki, zrobiono dla niej miejsce do spania w kącie podwórka, pod prowizorycznym zadaszeniem, do przykrycia ma worek foliowy.

Wychodząc na podwórze podziwiamy wspianą peruwiańską noc, niebo intensywnie rozgwieżdżone, takiego nie zobaczymy na półkuli północnej. Bez trudu można odnaleźć charakterystyczny Krzyż Południa. Jesteśmy wysoko w Andach, na wysokości 3200 m n.p.m. Po słonecznym, upalnym dniu, zaczynamy odczuwać zimną noc, temperatura spada do około 0°C.

Tekst i zdjęcia: Jarosław Fischbach